

# Hiszpania, Gibraltar, Maroko 2006

autor: Asia Kierończyk

## WTOREK, 5 WRZESIEŃ 2006,

Polska - Niemcy



Budzimy się rano, na wyścigi wyskakujemy z łóżka. Każde z nas chce pierwsze sprawdzić jaka jest pogoda.

Dzień zapowiada się piękny; niebieskie niebo, słoneczko świeci, tylko wieje jak smok... ;-(

Jesteśmy trochę zmartwieni tym faktem, ale co tam – damy radę, nie w takim wietrze się jeździło.☺

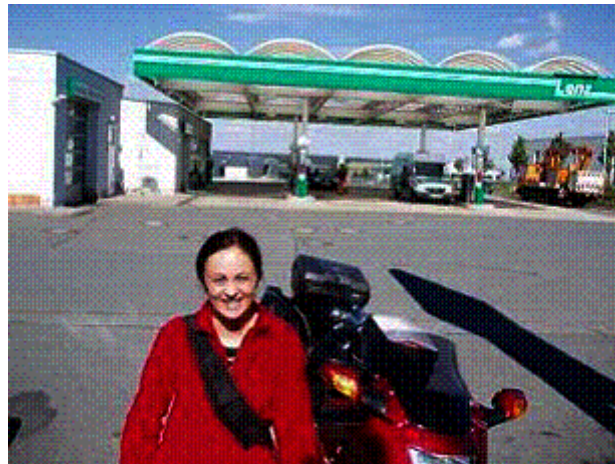
Całe lato siedzieliśmy jak na szpilkach odliczając dni do wyjazdu i oto wreszcie się doczekaliśmy!!!! Jednak mało brakowało aby nasza wyprawa się nie odbyła. Witek 3

tygodnie temu pojechał na tor i zaliczył szlifa. Na szczęście nic mu się nie stało, ale nasze moto „trochę” się poobdzierało i odpadło lusterko. Mając już zamknięty budżet na podróż i niezbyt wiele wolnych środków nie pozostało nam nic innego jak dziury w owiewce zalepić żywicą, potraktować ją sprayem a lusterko dospawać... niestety tylko na sztywno



Żegnamy się z rodziną, mama jak zwykle pełna obaw ściska nas ze łzami w oczach ale z uśmiechem na twarzy.... No cóż, dzieci ma trochę zwariowane...

A więc jedziemy! Dopiero jak przejeżdżamy pierwszych kilkadziesiąt kilometrów odczuwamy, że jednak mocno wieje. Jestem zła, że znowu coś idzie nie tak... Martwimy się, że w takim wietrze to my zbyt wiele kilometrów nie zrobimy... ale nie poddajemy się - walczymy, to znaczy Witek walczy bo moim zadaniem jest tylko nie dać się zdmuchnąć z motocykla J Przed Niemcami prawie nas zwiewa z drogi, nie jest nam do śmiechu, ale przekraczamy granicę i jakby ręką odjął – wiatr się uspokaja. No! Teraz to nam się gęby śmieją – piękna pogoda i przed nami niemieckie autobany... W takich warunkach 1000km to pikuś



Robi się powoli wieczór, czas znaleźć sobie jakąś miejscówkę na nocleg. Zjeżdżamy z autostrady i trafiamy na całkiem fajne pole namiotowe. Gdy rozbijamy się jest już ciemno. Robimy sobie jeszcze mały spacer po campingu i do śpiworków.

# ŚRODA, 6 WRZESIEŃ,

Niemcy – Francja



Dzisiejszy ranek wita nas pochmurnie. Ale co tam, najważniejsze, że my czujemy już klimat podróży i mamy rogalce na gębach ;-). Jemy pyszne śniadanko i w drogę!



Francuskie autostrady podobnie jak niemieckie zachęcają do szybkiej jazdy. Niestety mają ograniczenia prędkości i są płatne. Na szczęście na motocykl jest prawie dwa razy mniejsza stawka niż na samochód, ale i tak bije po kieszeni.

Pogoda jest deszczowa a nam wysiadają obie tylne żarówki. Źle nam się jedzie bez tylnego światła, czujemy w związku z tym duży dyskomfort psychiczny, ale niestety mimo naszych usilnych starań dwuwótkowe żarówki nie są do dostania na autostradach.

Dojeżdżamy do Montpellier we Francji, szukamy salonu Hondy. Może wreszcie się uda? Znajdujemy sklep motocyklowy, który właśnie zamykają. Niestety takich żarówek nie ma. Nie jest jednak tak źle bo pod sklepem spotykamy francuskiego motocyklistę i to mówiącego niezłe po angielsku, to naprawdę rzadkość wśród Francuzów, którzy z reguły nie uczą się języków obcych. Facet nie dość, że nam pokazał gdzie się mieści niestety już zamknięty salon Hondy to poprowadził nas na pole namiotowe w pobliskim miasteczku Palavas. Solidarność motocyklistów jednak nie zna granic.



Camping położony jest już nad Morzem Śródziemnym. Trochę zaskoczeni jesteśmy jego wyglądem. Przyzwyczailiśmy się do zielonych pól namiotowych a tu wszędzie grysik. No cóż będziemy mieli niezaplanowany masaż.

Jesteśmy tak zmęczeni, że zasypiamy jak dzieci, nawet grysik nam nie przeszkadza. Fajnie tak zasypiać słysząc szum Morza Śródziemnego...

# CZWARTEK, 7 WRZESIEŃ,



Francja – Katalonia (Hiszpania)



Ranek znowu jest pochmurny L, ale może to i lepiej, bo średnia to przyjemność jechać w upale. Robimy sobie pierwsze zdjęcia nad morzem i ruszamy dalej, Trochę jestem rozczarowana, bo woda wcale nie jest taka ciepła jak myślałam..

Ruszamy dalej. Mijamy billboardy reklamujące pobliskie Safari, postanawiamy wstąpić, w końcu nigdy nie byliśmy na safari, poza tym nie wybaczyłabym sobie gdybym nie skorzystała z okazji pooglądania zwierzaków.



Doczytujemy, że park składa się z dwóch części. W jednej można poruszać się pieszo, niestety zwierzęta są tam zamknięte w klatkach lub niewielkich wybiegach, do drugiej gdzie zwierzaki mają więcej swobody można wjechać samochodem lub specjalnym busem. Nie ma opisanych zasad jak to się odbywa, więc Witek wysłała mnie żeby się dogadała z przewodnikiem co i jak. Jestem z lekka spanikowana, ponieważ bardzo dawno nie rozmawiałam po francusku i nie czuję się za bardzo na siłach. Z naszej dwójki tylko ja trochę znam ten język, na dogadanie się po angielsku nie ma szans, więc raz kozie śmierć - idę! Uff! Udało się! Płacimy, wsiadamy do busa i jedziemy. Wrażenia takie sobie, żal nam zwierzaków, które co prawda nie są w klatkach, ale jednak w niewoli. Podkreślają to dobitnie specjalne kraty w ziemi między poszczególnymi sektorami, przez które zwierzęta nie mają szans przejść.

Jedynym szczęśliwym i zadowolonym z życia mieszkańcem safari wydaje się być misio, który sprawia wrażenie jakby dopiero co wrócił z dość intensywnie zakrapianej imprezy, dosłownie tylko flaszki mu brakuje. Nic jednak nie pobije małego słonia, który właśnie zjadał własną kupę. Zakochałam się w nim od pierwszego wejrzenia....



Widzimy też ptaki, które bardzo przypominają nam nasze polskie bociany, dopiero po chwili zdajemy sobie sprawę, że to właśnie one! Ptaki te tak bardzo kojarzą się nam z polskim krajobrazem, że jakoś tak nam nie pasują do tego miejsca..., a one po prostu odpoczywały w drodze do Afryki.

Ruszamy dalej. Wreszcie wjeżdżamy do hiszpańskiej Katalonii. Dojeżdżamy do miasteczka Sant Feliu de Guixols gdzie w trakcie poszukiwania campingu odpada nam nasze dospawane lustерko. Miasteczko jest przepiękne, podoba nam się jego kolonialno-mauretańska architektura. Klasztor Benedyktynów, eleganckie rezydencje, przepiękne uliczki z niewielkimi sklepami i barami tworzą specyficzny klimat tego miejsca. Czuje się duch dawnych czasów, ale podobają się nam również współczesne akcenty takie jak port pełen jachtów – od wyboru do koloru.

Znajdujemy wreszcie jakiś camping, ale nie możemy znaleźć właściciela. W końcu się znajduje, ale nie możemy się z nim dogadać w żadnym ze znanych nam języków, gościu ciągle powtarza „maniana” i „maniana”. Cokolwiek to oznacza postanawiamy rozbić namiot a resztą będziemy martwić się jutro.

Budzimy się w środku nocy, coś po nas łązi. Wyskakujemy z namiotu jak oparzeni. Okazuje się, że atakują nas mrówki. Tak szybko szykowaliśmy spanie, że nie zauważyliśmy, że rozbiliśmy się w mrowisku. Wyciągamy więc wszystko z namiotu, dokładnie trzepiemy, przenosimy nasz „dom” i reszta nocy mija nam już spokojnie.



# PIĄTEK, 8 WRZESIEŃ

Plaża w Sant Felieu de Guixols, Katalonia



Dziś dowiadujemy się, że słowo „maniana” oznacza „jutro” a nie „bałagan” jak do tej pory myślałam 😊

Postanawiamy zostać, odpocząć i trochę popłażować.

Plaża jest taka sobie, bo mało dzika. Nie lubię takich plaż w mieście, gdzie z przodu morze a z tyłu hotele i ulice... Jednak chęć odpoczynku i poleżenia na słoneczku jest silniejsza od wybrzydzenia nad miejscem leniuchowania. Jest tak ciepło, że nie mamy ani siły, ani ochoty szukać czegoś niezwykłego.



Po tak „wykańczającym” dniu ;-)) wypadałoby coś przekąsić. Robimy zakupy w markecie, wsiadamy na motocykl i szukamy jakiegoś fajnego miejsca na konsumpcję. Jedziemy w górę miasteczka i znajdujemy to, co chcieliśmy. Z murku robimy sobie stolik i siedzonka, jedząc podziwiamy przepiękną panoramę na port i miasto. Rybacy właśnie wracają z połowu a oświetlone łodzie poławiaczy owoców morza wyglądają jak gigantyczne świetliki.

# SOBOTA, 9 WRZESIEŃ

Droga przez Murcję



Zbieramy się w dalszą drogę, płacimy za nocleg. Strasznie się wkurzamy, bo właściciel pola kasuje nas za nasz skromny mały namiocik jak za całą parcelę z kamperem. To chyba za tych dodatkowych gości w postaci mrówek! Nie pozostaje nam nic innego jak przeboleć to zdzierstwo.

Za cel obieramy sobie Cartagenę – osadę założoną około 229 r. p.n.e. przez Hasdrubala, brata Hannibala. Spodziewamy się jakiś fajnych wykopalisk albo jakiś pozostałości z czasów starożytnych. Niestety rozczarowujemy się, bo oprócz muzeum archeologii podwodnej nie ma tu nic ciekawego do oglądania.



Za to droga w takim upale potrafi wykończyć nawet największego twardziela

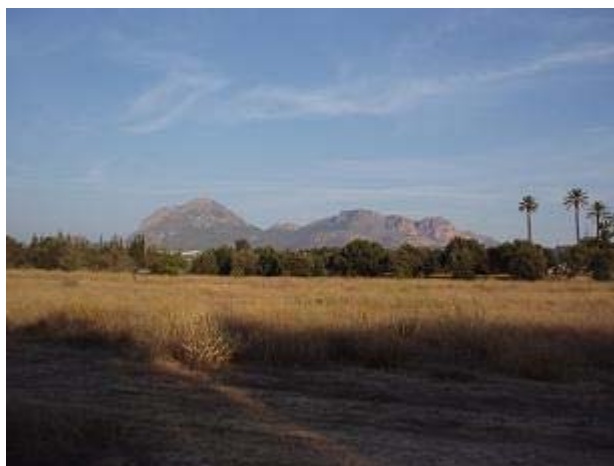


Jedziemy dalej drogami Murcji. Ten południowo-wschodni zakątek Hiszpanii ma charakter prawie pustynny i należy do najmniej zasobnych w wodę obszarów Europy. Przejeżdżamy przez miejscowości, które wyglądają jak wymarłe. Dookoła ani żywej duszy, zero drzew, wzbijające się tumany piachu i kurzu, wszystko wygląda jakby było pozamykane. Jest tu tak surowa atmosfera, że odczuwam lekki niepokój, gdy zapominamy kupić wody. Zastanawiam się, co by się stało gdyby popsuł się nam motocykl, a tu wokół opuszczone, rozpadające się domy, ani żywej duszy a my w ten upał bez wody... i te walające się wszędzie śmieci... Na szczęście nie dane nam było tego zaznać..uff...

Robi się wieczór, postanawiamy dziś rozbić namiot gdzieś „na dziko”. Podreperujemy trochę finanse po noclegu u „maniany” i jednocześnie zdobędziemy jakieś nowe doświadczenie. W Hiszpanii można obozować w ten sposób pod warunkiem, że robi się to poza miastem. Zjeżdżamy więc z drogi i szukamy jakiegoś fajnego miejsca. Jest już ciemno, więc nie wybrzydzamy bo i tak nic nie widać. W nocy budzimy się przestraszeni, słyszymy jakieś hałasy, okazuje się, że nocne zwierzaki poczęstowały się naszym śniadaniem.

# NIEDZIELA, 10 WRZESIEŃ

Droga do Aguilas



Ranek szykuje nam prawdziwą niespodziankę, wychodzimy zaspani z namiotu i widzimy tak piękny widok, że aż zapominamy języka w gębie z wrażenia. Co prawda za nami jest jakieś wysypisko gratów, leżą jakieś zderzaki, opony, tapczany, ale za to przed nami po prostu bajka...

Po śniadaniu jedziemy w stronę miasteczka Aguilas leżącego niemal przy samej granicy z Andaluzją gdzie podobno można znaleźć przepiękne, nietknięte cywilizacją zatoczki.

Po drodze mijamy wielkie białe płachty przykrywające pola pomidorów przed ostrym słońcem. To jedna z nielicznych roślin, które można uprawiać w tym jałowym regionie. Za to skala, na jaką są uprawiane jest naprawdę imponująca. W którąkolwiek stronę nie spojrzeć to widać te wielkie białe połacie... Wygląda to naprawdę niesamowicie...



Znajdujemy fajne pole namiotowe, z baldachimami chroniącymi przed słońcem, niestety podłoże znowu grysikowe, ale już tak się przyzwyczailiśmy do spania na kamykach, że przestajemy zwracać na to uwagę. Chyba powoli stajemy się fakirami.

Znowu mamy trudności z dogadaniem się. Jesteśmy zszokowani ignorancją Hiszpanów w uczeniu się języków obcych. Przez to, że mają filmy dubingowane nie mają nawet w telewizji styczności z innymi językami przez co nie znają nawet podstawowych słów

Całe szczęście język migowy jest uniwersalny ;-)

# PONIEDZIAŁEK, 11 WRZESIEŃ

Plaża w okolicy Aguilas, jeszcze Murcja



Znaleźliśmy dziś ciekawą zatoczkę, początkowo myśleliśmy, że różnego kształtu i wielkości otwory są dziełami natury a okazało się, że są tworem mieszkających tu kiedyś Cyganów. Niestety do środka nie dało się za bardzo wejść, bo ludzie urządzili sobie wychodek.

Po całym dniu bąblowania zakupiliśmy kolację, po kolacji zaliczamy jeszcze kąpiel w basenie. Basen na polu namiotowym jest w Hiszpanii standardem, ciekawe kiedy takie standardy dojdą do Polski. Wieczorem wypijamy flaszkę miejscowego wina, nie mamy kieliszków, więc adaptujemy do tego celu kubeczki po jogutrach.



Winko szumi nam już w głowach, humor dopisuje. Chętnie byśmy się pobawili. Słyszemy, że na tym samym polu odbywa się jakaś impreza, z dochodzących odgłosów wnioskujemy, że to bawią się Hiszpanie. Próbujemy się na nią wkłęcić, ale nic z tego nie wychodzi. Moje wyobrazenie o uśmiechniętych, gościnnych i otwartych Hiszpanach właśnie runęło w gruzach, wcale nie są tacy sympatyczni jak wcześniej o nich myślałam.



# WTOREK, 12 WRZESIEŃ

Plaża w okolicy Aguilas, jeszcze Murcja



Dziś znaleźliśmy jeszcze ładniejszą plażę niż ta, na której byliśmy ostatnio. Drobny, jasny piaseczek, ciepłutka woda, gładkie dno a wokół piękne skały. Oprócz nas prawie nikogo tu nie ma. Jest taki spokój i relax, że chciałoby się aby czas się choć na moment tu zatrzymał. Brakuje tylko statku pirackiego wylaniającego się z za skał. Bardzo podoba mi się zwyczaj opalania topless na hiszpańskich plażach, nikogo to nie dziwi ani nie szokuje nawet na tych najbardziej zatłoczonych. Dla amatek równo opalonego całego ciała, (oprócz majteczek) to wymarzone miejsce.



Wieczorem jedziemy zobaczyć miasteczko. Jest tu naprawdę ładnie. Mnóstwo podświetlonych fontann, roślinność tak różnorodna, że nawet w nocy robi wrażenie.

A jachty w porcie? Mózg staje!!! Nad portem widać ruiny zamku, klimat niesamowity. Chodzimy, podziwiamy, jesteśmy zachwyceni.



# ŚRODA, 13 WRZESIEŃ

## Droga do Tarify

Po dwóch dniach leniuchowania, wypoczęci, zwarci i gotowi ruszamy w dalszą trasę. Celem jest miasteczko Tarifa – najdalej wysunięty punkt Europy na Południe, zaledwie 14km od Maroka. Przemierzamy więc całą piękną Andaluzję. Widoki są niezwykłe, niektóre miejsca bardzo przypominają nam Chorwację.



Jest strasznie gorąco. W słońcu w skórach nie da się wytrzymać.

Udaje się nam w końcu dojechać do celu, szukamy jakiegoś fajnego, ale niezbyt drogiego pola. Ceny są raczej wyrównane, zatrzymujemy się więc na campingu nad rzeczką Rio Jara. Miejscówka fajna, z namiotu słyszymy szum Atlantyku, fajne uczucie mieć świadomość, że jeszcze trochę i zanurzymy się w oceanie.

Idziemy na wieczorny spacer jego brzegiem, woda jest zimniejsza niż w Morzu Śródziemnym, wiatr też jest jakiś taki chłodniejszy. Gdy wracamy jest już całkiem ciemno, boję się, że zabłądzimy ale Witek bez problemu znajduje drogę.

W nocy budzi nas straszna ulewa, jest tak silna, że woda nie nadąża wsiąkać w ziemię i zbiera się nam pod podłogą namiotu, po chwili przez dziurki, o których wcześniej nie wiedzieliśmy J dostaje się nam do środka. Ratujemy co się da przed zamknięciem, a sami ubieramy się w skóry mając nadzieję, że nie spłyniemy razem z namiotem i że za bardzo nie przemokniemy. Po dwóch godzinach żywiołu powoli deszcz się uspokaja a my wykończeni zasypiamy.

# CZWARTEK, 14 WRZESIEŃ

Tarifa, Andaluzja



Dzień rozpoczynamy od wielkiego suszenia i śniadania jedzonego na kufrach. Trochę jesteśmy podłamani pogodą, bo miało być gorąco a tu jakieś wiatry i nocne ulewy. Wiedzieliśmy wcześniej o tych wiatrach w końcu Morze Śródziemne miesza się tutaj z Atlantykiem, ale nie zdawaliśmy sobie sprawy, że może to być aż tak uciążliwe. Teraz zaczynamy rozumieć dlaczego Tarifa znana była z największego wskaźnika samobójstw w całej Hiszpanii, podobno to przez te wiatry.



Postanawiamy poszukać spokojniejszego miejsca na obóz, jeździmy więc trochę po okolicy. Zatrzymujemy się w miejscu gdzie doskonale widać Afrykę, cieśninę i przepływające po niej statki. Patrzymy urzeczeni, nie możemy uwierzyć, że tylko

kilkanaście kilometrów dzieli nas od wymarzonej Afryki... Strasznie tu wieje więc wsiadamy na moto i jedziemy do miasteczka. Tam zaczepia nas polskie małżeństwo podróżujące camperem po Europie a mieszkające od kilkunastu lat w Niemczech. Są zdziwieni gdy widzą motocykl na polskich rejestracjach tak daleko od kraju..

I tak mija nam prawie cały dzień nie wiadomo na czym. W końcu udaje się nam znaleźć naprawdę fajny camping. Też bliźutko do plaży, ale jakoś tak przytulniej i zaciszniej. Znowu rozbijamy namiot, rozpakowujemy śpiwory, urządzamy obozowisko, zatrzymamy się tu na dłużej niż jedna noc. Robimy zakupy w pobliskim markecie, nie wiedzieć czemu znowu jest to Lidl. Jakoś w czasie tej podróży ciągle trafiamy na tą sieć marketów. Niedługo dostaniemy kartę stałego klienta J Bardzo mi się podoba sposób płacenia kartą, którą się autoryzuje poprzez podpis. Aby dokonać takiej transakcji należy okazać dowód osobisty. Jest to prosty, ale fantastyczny pomysł zapobiegający wyciszczaniu kont przez złodzieji kart. Może w Polsce tam na Górze też kiedyś ktoś wpadnie na taki pomysł....



Po załatwieniu wszystkich spraw organizacyjnych idziemy na spacer na plażę, zaskakuje nas widok mnóstwa unoszących się „skrzydeł” kilka metrów nad powierzchnią wody. Okazuje się, że jest tu raj dla Kitesurfingu. Bardzo spodobał mi się ten sport, jestem pod wrażeniem ludzi, którzy potrafią wzbić się z nad wody kilka metrów w powietrze. Jest tu mnóstwo szkół, w których można poznać technikę tego sportu. Tym razem nie ma czasu ani środków na naukę ale obiecuję sobie, że kiedyś spróbuję.

Siadamy na piasku i wpatrujemy się w wymarzoną Afrykę. To niesamowite, że dzieli nas do niej tylko kilka kilometrów wody, że widzimy ją gołym okiem. Słońce powoli zachodzi po drugiej stronie zapalają się światła... Na plaży spotykamy to samo małżeństwo, z którym

rozmawialiśmy w mieście. Zapraszają nas do swojego Campera. Z przyjemnością przyjmujemy zaproszenie, tym bardziej, że dowiadujemy się, że ich znajomi byli dziś na wycieczce w Tangerze w Maroco, dowiemy się więc co i jak.

Bardzo miło spędzamy wieczór, przy piwku gawędzimy na przeróżne tematy, poznajemy ich sposób na życie. Martwi nas jednak trochę fakt, że para która dziś była w Tangerze ostrzega nas przed samodzielną wycieczką, bo choć są urzeczeni tym co widzieli twierdzą, że baliby się zapuszczać w uliczki tego miasta bez przewodnika zorganizowanej grupy. Trochę jesteśmy zdezorientowani tym faktem, ponieważ mieliśmy wcześniej zamiar wjechać do Marocco motocyklem. W końcu po przeanalizowaniu wszystkich za i przeciw decydujemy się z bólem serca na wycieczkę zorganizowaną. Przeważa fakt, że nie znamy kultury tych ludzi, ich języka, panujących tam obyczajów. Mimo wszystko kładziemy się spać podekscytowani, niezmiernie się cieszymy, że jutro po raz pierwszy w życiu dotkniemy Czarnego Łądu....

# PIĄTEK, 15 WRZESIEŃ

Tanger, Maroko



Udajemy się rano do portu, gdzie wsiadamy na prom. Widzimy motocyklistę, który wjeżdża na moto przystosowanym do afrykańskich warunków. Ale mu zazdrościmy!!! Już żałujemy, że wczoraj posłuchaliśmy nowo poznanych znajomych i zamiast zaufać swojej intuicji zostawiliśmy naszego X-sa w porcie L a gdybyśmy jeszcze mogli wyjechać za miasto to byłby szczyt naszych marzeń. Może kiedyś się uda to zrealizować, na pewno nie dzisiaj... Nie psuje nam to wcale humorów, bo w końcu dziś postawimy po raz pierwszy w życiu stopy na czarnym lądzie i choć jesteśmy świadomi, że to nie będzie dzika Afryka o której marzymy to i tak gęby nam się śmieją od ucha do ucha.

Płyniemy przez Cieśninę Gibraltarską ????? , mijamy mnóstwo statków, przede wszystkim wielkich tankowców. Ruch jak na autostradzie J Prom strasznie buja, do tego stopnia, że mamy problemy z przejściem kilku kroków nie chwytając się poręczy, wypisanie karty z naszymi danymi potrzebnymi do przekroczenia granicy też jest nie lada wyzwaniem.



W końcu z pierwszymi objawami choroby morskiej dobijamy do brzegu, tam wsiadamy do czekającego już na nas autobusu. Przewodnik objaśnia, że część miasta zobaczymy z tej perspektywy, ponieważ dzień jest zbyt krótki, aby zwiedzić Tangerang na piechotę.



Jestem zdziwiona, jak na razie Tangerang nie różni się zbyt wiele od Europejskich miast. Są wieżowce, ulice, chodniki, samochody prawie jak u nas. Jedynie na billboardach zamiast napisów są szlaczki J

Wycieczka przebiega jak na razie w sposób konwencjonalny a więc zatrzymujemy się przy wielbłądach na których można pojeździć. Oczywiście nie trzeba mnie było do tego namawiać, nigdy wcześniej nie siedziałam na wielbłądzie i zawsze chciałam tego spróbować. Wrażenia całkiem fajne, to naprawdę kochane zwierzęta. Kolejna atrakcja to zaklinacze węży, też fajne, ale my chcemy poznać jak żyją i mieszkają tu ludzie a nie przedstawienia dla turystów.

W końcu trafiamy do starszej dzielnicy miasta, która nas fascynuje. Dopiero teraz widzimy, że miasto to jest pełne kontrastów. Przed chwilą byliśmy wśród wieżowców a teraz chodzimy tak wąskimi, starymi uliczkami, że często trzeba iść gęsiego aby móc się wyminąć z ludźmi idącymi z przeciwka. Niesamowite jest to, że w tych uliczkach mimo panującego upału jest zdecydowanie chłodniej niż na otwartej przestrzeni. Czy to przypadek, czy celowo tak kiedyś budowano aby uchronić się przed palącym słońcem?

Mijamy piekarnię, zakład krawiecki, fryzjera i chyba są to najmniejsze warsztaty jakie w życiu widzieliśmy bo mieszczą się na zaledwie kilku metrach kwadratowych, nie mówiąc już o tym ile powierzchni przypada na jednego pracownika, chyba nikt tam się nie martwi Państwową Inspekcją Pracy.



Gdyby na targ wparował Sanepid też miałby pełne ręce roboty. Cały towar jest wystawiony na zewnątrz, w ponad 30-stopniowym upale żadnych lodówek, kurczaki oskubane z piór wiszące do góry nogami na sznurkach przyczepionych do górnej części straganu, masakra, dobrze, że jestem wegetarianką



Kontrasty widoczne są nie tylko w architekturze, ale również w sposobie ubierania się ludzi. Nie ma się czemu dziwić w końcu w jednym mieście żyją ludzie wyznający różne religie.

A widok kobiety w muzułmańskim stroju z telefonem komórkowym w ręce jest dowodem na to, że cywilizacja wdziera się powoli wszędzie, w każde miejsce i do każdej kultury.



Po takiej wycieczce jemy obiad w marokańskiej restauracji. Wcinamy tradycyjne kuksu popijając miętową herbatą z cukrem a raczej cukrem z miętą J W tle tutejsza kapela gra muzykę, tworzy to naprawdę fajny klimat.

Wycieczkę uważamy za udaną, chociaż zupełnie inaczej ją sobie wyobrażaliśmy. Chcieliśmy wjechać do Maroka motocyklem, poza tym nie mogliśmy pobuszować po uliczkach. Ludzi nie ma się co bać bo są bardzo sympatyczni, potrafią się porozumieć po angielsku i francusku w czym biją Hiszpanów na głowę, a do tego na każdym kroku próbują sprzedać gandzie i to dobrego gatunku, ale posiadanie narkotyków jest bardzo surowo tu karane więc nie ma co ryzykować. Trochę nachalne są dzieci, próbujące za wszelką cenę coś nam wcisnąć, ale można spokojnie dać sobie z nimi radę.

Wiemy na pewno, że już nigdy nie posłuchamy czyjś gadania tylko zawierzymy własnej intuicji

# SOBOTA, 16 WRZESIEŃ

## Tarifa, plaża

Dziś przerwa w zwiedzaniu i jeżdżeniu. Idziemy na plażę! Hurraa!! Uwielbiam wygrzewać się na słończku i relaksować się słuchając szumu fal. Tutejsza plaża jest przepiękna, szeroka, piaszczysta plaża, wydmy porośnięte roślinnością i wielki błękit... prawie jak nad Bałtykiem tylko woda troszkę cieplejsza ;-) Jedyne minus to kamieniste dno ale plusów jest tyle, że to naprawdę nie ma znaczenia.



# NIEDZIELA, 17 WRZESIEŃ

## Gibłartar



Dziś pora na Gibłartar. Dojeżdżamy na miejsce i przeżywam szok. Zupełnie inaczej go sobie wyobrażałam. Myślałam, że to będzie jakiś płaski kawał terenu z lotniskiem i nic interesującego poza tym. A tu nagle wylania się z morza wielka, niesamowita skała. Widok ten zaczyna mnie bardzo intrygować. Podobno tak to jest z tym Gibłartarem, że jedni przyjeżdżając w to miejsce chcą zobaczyć skałę, poczuć jej siłę i to coś bijące z jej wnętrza, inni natomiast chcą zobaczyć jedną z ostatnich kolonii brytyjskich. Jest to miejsce niezwykle, bo, nie jest tak naprawdę ani do końca brytyjskie ani tym bardziej hiszpańskie. Na ulicach słycać obydwu języki, płacić można zarówno w funtach gibłartarskich o tej samej wartości co funt brytyjski jak i w euro, ceny są porównywalne bardziej do tych w Londynie niż w Madrycie nic więc dziwnego, że pracuje tu mnóstwo Hiszpanów bo zarabiają pewnie też prawie jak Londyńczycy

Wjeżdżając do Gibłartaru, trzeba przejść przez kontrolę dokumentów na przejściu granicznym. Strasznie trzępią szczególnie miejscowych, ponieważ kwitnie tu przemysł papierosowy, przez co czasami robią się dość długie kolejki.

Na górę można wjechać dwoma drogami, albo kolejką linową, albo drogą asfaltową, którą dojeżdża się do płatnego rezerwatu w którym, później zostaje tylko napęd nożny.



Wybieramy opcję z wjazdem drogą. Zostawiamy nasze moto w specjalnie wyznaczonym do tego celu miejscu i zaczynamy pieszą „wędrówkę”

Witają nas wszędobylskie małpki, jest ich mnóstwo i są wszędzie, dorosłe i malutkie, są takie kochane... i na te swoje słodkie mordki „obrabiają” turystów. Wystarczy chwila nieuwagi i można pozbyć się ciastek, chipsów i innych łakoci. Małpki bez problemu otwierają opakowania i wcinają ich zawartość. Można uśmieć się po pachy.



Dochodzimy do „monety Herkulesa” przedstawiającej z jednej strony świat antyczny a z drugiej świat współczesny. Legenda głosi, że Herkules zrzucił ze szczytu Skały Gibraltarskiej, monetę, która spadając wyznaczyła granicę między antycznym światem znanym a nieznanym. Tą granicą została Cieśnina Gibraltarska. Druga strona monety przedstawia mapę dzisiejszego świata, na której pokazane jest, że Gibraltar znajduje się dokładnie w jego centrum ....



Dochodzimy do jaskini o nazwie Saint Michael's Cave, którą już w czasach neolitu zamieszkiwał człowiek. Odnaleziono tu czaszki pochodzące z okresu 40 tysięcy lat przed naszej ery. Podczas ostatniej wojny mieścił się tutaj szpital wojskowy, a dziś ze względu na bardzo dobrą akustykę organizuje się koncerty. Jaskinia jest naprawdę ogromna z fantastycznymi stalaktytami, stalagmitami i innymi formami skalnymi których nazwać nawet nie umiem. Są one podświetlone w taki sposób, że wydobyte jest całe ich piękno...



Idziemy teraz zobaczyć tunele obronne – The great siege tunnels. Zostały one wykute w skale podczas wielkiego oblężenia (1779–1782). Służyły nie tylko jako schronienie, ale znajdowały się w nich armaty, z których strzelano do atakujących oddziałów hiszpańskich.



W tunelach tych w czasie II wojny światowej mieściły się punkty obserwacyjne, przez które widać całą cieśninę gibraltarską – przepływające statki jak i przelatujące samoloty. Makiety w poszczególnych częściach tuneli dość obrazowo pokazują jak to kiedyś wyglądało.



W tunelach tych znaleźć można polski akcent. Na jednej ze ścian wisi tablica upamiętniająca śmierć gen. Władysława Sikorskiego, która miała miejsce w lipcu 1943. Napisy na tablicy są w języku angielskim jak i polskim.





Po tunelach czas na zaczerpnięcie świeżego powietrza. Wchodzimy na szczyt gibraltarńskiej skały. Widoki niesamowite, a na samej górze niszczone pozostałości po bazie wojskowej, dla jednych może to psuć trochę klimat, ale miłośnicy militariów mogą znaleźć w tym coś fajnego.



Dzień się kończy, pora wracać. Zjeżdżamy na dół i szukamy jakieś knajpki aby coś zjeść. Szybko jednak rezygnujemy z tego pomysłu bo ceny są tutaj jak „na Batorym”.



Wracamy więc na głodniaka, po drodze chcemy jeszcze zobaczyć rzymskie ruiny, które mieszczą się w okolicy Tarify. Niestety jest to teren muzeum i jest już zamknięte. Strasznie żałujemy bo ruiny są nieźle zachowane, wyglądają naprawdę ciekawie a już nie będziemy mieli czasu aby tu wrócić. Obchodzimy teren najbliższej ruin jak się da. Są to pozostałości jakiegoś rzymskiego miasta, może nawet jakiegoś ówczesnego „kurortu” bo mieszczą się nad samym morzem, a może mieszkający tu ludzie byli jakimiś wyrzutkami odesłanymi na koniec świata? Tak czy owak udziela się nam klimat tego miejsca. Zastanawiamy się o czym myśleli ówcześni ludzie gdy tyle lat temu wpatrywali się w to samo słońce i w ten sam błękit morza. Ich dawno już nie ma a świat nadal trwa...

# PONIEDZIAŁEK, 18 WRZESIEŃ

## Tarifa – delfiny, Białe Miasta

Przez to, że mieszają się tu wody Morza Śródziemnego i Atlantyku Tarifa jest naprawdę niesamowitym zakątkiem Europy. Wystarczy wejść na cypel, który ma kilka metrów szerokości aby widzieć z jednej strony morze a z drugiej ocean. Każdy znajdzie tu miejsce dla siebie, bo kąpać lepiej się w cieplejszych wodach morza a uprawiać sporty wodne w oceanie gdzie na wiatr i fale nie można narzekać.



Dziś opuszczamy to niezwykle miejsce ale zanim to zrobimy chcemy zobaczyć żyjące na wolności wieloryby i delfiny. Takie wypady są stąd organizowane przez towarzystwo chroniące te niesamowite ssaki, podobno dochód z tych wycieczek przeznaczany jest na ich ochronę. Szczytny cel, mamy nadzieję, że to nie jest tylko chwyt reklamowy.

Jest strasznie gorąco, my ubrani już w skóry, ponieważ zaraz po wycieczce ruszamy dalej. Cały dobytek mamy już spakowany i załadowany na motocyklu, który zostawiamy w porcie. Mamy nadzieję, że będzie tam nadal gdy wrócimy.

Wypływamy na pełne morze, łódź na której jesteśmy nie jest wcale imponujących rozmiarów dlatego obawiamy się choroby morskiej, której początki już doświadczyliśmy na dużym promie gdy płynęliśmy do Maroka. Na szczęście tym razem, choć nasza łódź pokonuje fale naprawdę dużych rozmiarów nie odczuwamy żadnych dolegliwości, no może oprócz zmoczenia nas przez rozbryzgujące się o nasz środek transportu fale, jednak w tym upale to nawet przyjemne doznanie. Możemy więc cieszyć się w stu procentach wrażeniami. Płyniemy i płyniemy już prawie godzinę a delfinów ani widu ani słyhu. Tak bardzo chcemy je zobaczyć, że boimy się, że nic z tego nie będzie. Nie dlatego, że stracimy kasę, bo nie da się ukryć, że to trochę kosztowna przyjemność ale dlatego, że tak bardzo chcemy je zobaczyć a druga taka okazja długo się pewnie nie nadarzy...



Hurraaa!! Wreszcie pojawiają się! Na początku jest ich niewiele, potem coraz więcej. Nie ma na razie delfinów, ale widok wielorybów przemierzających fale jest niezmiernie. Płynie całe stado, młode trzymają się blisko matek dzielnie dotrzymując im tempa. Co pewien czas wzbija się w powietrze z otworu tuż za ich głowami fontanna. To dowód, że to faktycznie są wieloryby. Wkrótce pojawiają się delfiny. Na początku widzimy je z daleka jak wyskakują z wody przed dziobami płynących przez cieśninę tankowców. W końcu podpływają bliżej nas. Woda jest tak czysta, że bez problemu widzimy ich wydłużone pyszczki i popielaty kolor.



Wyraźnie bawią się z nami. Gdy łódź płynie i słyszą obroty jej silnika cały czas trzymają się jej dzioba lekko ją wyprzedzając. Wyprawiają w wodzie różne ewolucje, widać, że sprawia im to przyjemność, wydaje się, że nawet pyszczki im się śmieją. Wystarczy, że łódź zwolni obroty silnika lub całkowicie się zatrzyma - delfiny jakby znudzone odpływają. Wystarczy moment, że znów ruszamy nie wiadomo skąd pojawiają się znowu by znów zacząć swoje show ;-)

Niestety wszystko co dobre szybko się kończy, pora wracać do portu, jednak tego co zobaczyliśmy nie zapomnimy nigdy. Jakże inaczej zachowują się zwierzęta na wolności, niż te które można zobaczyć w niewoli. To naprawdę nieludzkie w dobie internetu i telewizji zamykać zwierzęta w klatkach i basenach. Odbierać im wolność tylko dlatego, że egoistycznie przez chwilę chcemy sobie na nie popatrzeć....

Wysiadamy z łodzi, motocykl w stanie nienaruszonym cierpliwie na nas czeka. Ciekawe kiedy wyleczymy się z polskiego nawyku bania się o pozostawione bez opieki rzeczy...

Czas pożegnać się z tym miejscem. Ciężko nam, bo przeżyliśmy tu niezapomniane chwile a dodatkowo od tego momentu zaczynamy wracać w stronę domu... Na pewno zobaczymy jeszcze wiele ciekawych miejsc i przeżyjemy wiele niesamowitych chwil ale Tarifa i Tanger to najbardziej odległe punkty naszej podróży.

Ruszamy w dalszą drogę, tym razem bardziej w stronę lądu niż morza, naszym celem bowiem jest Grenada. Aby tam się dostać musimy przejechać część trasy przez góry Betyckie.



Takich widoków to się naprawdę nie spodziewaliśmy. Zbocza gór porośnięte są przepiękną zieloną roślinnością, można zobaczyć m.in. drzewka oliwne, zielone krzewy oraz mnóstwo różnego rodzaju kaktusów, których nazw nawet nie znam, część z nich kwitnie w przeróżnych kolorach. A w wyższych partiach, ponad zielenią zboczy wznoszą się skaliste, surowe wierzchołki gór. Do tego piękne asfaltowe, kręte drogi aż kusi żeby po nich pośmigać. Witek się wkurza, że przez kufry i plecak czyli mnie J nie może na nich poszaleć.



Pośród tych pięknych, ale surowych gór znajdują się małe miasteczka, które historią sięgają aż średniowiecza. W najwyższym ich punkcie znajduje się najczęściej zamek lub kościół, a pod nimi skupione w środku murów obronnych są niewielkie białe domki. Są tak ciasno skupione, a uliczki są tak wąskie, że przejeżdżające nimi samochody mogą mieć momentami naprawdę duży problem aby się zmieścić. Do tego są tak białe, że słońce odbijające się od nich strasznie nas oślepia. Piękno krajobrazu naprawdę nas urzeka a

biorąc pod uwagę fakt, że słońce świeci tu 260 dni w roku aż kusi żeby tu zamieszkać, choć na jakiś czas... Między miastami wiją się kręte drogi, często zaraz za nimi mieszczą się ogromne przepaście, aż coś się robi gdy pomyślimy, że chwila nieuwagi i możemy się tam znaleźć. Na szczęście nie musimy się o tym przekonywać.

Żałujemy, że nie mamy czasu zwiedzić Białego Miasta Rondy, które pochodzi z czasów Maurów, w końcu Anadaluzya była najdłużej w Hiszpanii w ich rękach. Podobno naprawdę warto je zwiedzić. No cóż... może innym razem..

W końcu tą malowniczą trasą dojeżdżamy do naszego dzisiejszego celu. Fuksem, już po zmroku znajdujemy całkiem przyjemne pole namiotowe.

Ostatkiem sił rozbijamy namiot i uderzamy w kimono.

# WTOREK, 19 WRZESIEŃ

Grenada



Dzisiejszy dzień zapowiada się całkiem niezłe. Słoneczko pięknie świeci, ptaszki śpiewają... jest tylko jeden problem na rękach i nogach mam dziwną swędzącą wysypkę, Witek, choć w mniejszym natężeniu ma ją również. Zastanawiamy się co to może być? Witek wkręca mnie, że w tunice, którą kupiłam na ulicy od Marokańczyka w Tangerze mogły być wszy odzieżowe i teraz przeszły na nas. Wpadam w panikę, czuję się syrasznie.... ale tragedia dzieje się dopiero wtedy kiedy Witek mnie uświadamia, że jeśli jego obawy okażą się prawdą to będziemy musieli spalić wszystkie rzeczy, które mamy ze sobą. Uświadamiam sobie, że będę musiała zniszczyć wszystkie moje ulubione ciuchy. Ogarnia mnie czarna rozpacz. Ryczę jak małe dziecko z żalu, upokorzenia i ze złości, że



coś takiego mi się przydarzyło. Witek ze mnie leje i coraz bardziej podkreca atmosferę aż w końcu sam zaczyna się wkręcać... Zakładam z żalem moją ulubioną sukienkę, z żalem bo chyba ostatni raz mam ją na sobie... :-)

Wjeżdżamy do miasta, jego architektura jest tak piękna, że zapominam o porannym problemie.

Jest tu wiele miejsc wartych obejrzenia my jednak mamy czas tylko na jedno, ale chyba najważniejsze – Alhambrę czyli czerwony zamek, (od czerwonego koloru gliny) która została zbudowana w XIII wieku przez muzułmańskich władców, była ostatnim miejscem wyznawców islamu na Półwyspie Iberyjskim. Do tego miejsca uciekali prześladowani przez katolików muzułmanie z innych miejsc Europy. Obecność w jednym miejscu wielu wybitnych artystów nie mogła zaowocować niczym innym jak czymś niecodziennym i niepowtarzalnym – właśnie takie wrażenie sprawia architektura tego miejsca.



Brzmi naprawdę zachęcająco więc nie możemy się już doczekać. Dojeżdżamy do kasy, przed którą ciągnie się ogromna kolejka. Dowiadujemy się, że wszystkie bilety do Pałacu zostały już na dziś wyprzedane, zostały tylko bilety do Ogrodów i letniej rezydencji Generalife. Znowu chce mi się ryczeć. Przeklinam własną głupotę, trzeba było zajrzeć do przewodnika, przyjechalibyśmy wtedy wcześniej albo zarezerwowali bilet przez internet. Co za pech!!! Nie mamy wyjścia, stajemy w kolejce, zwiedzimy chociaż sułtańskie ogrody, podobno są przepiękne.



Wchodzimy, humor od razu mi się poprawia bo faktycznie roślinność robi wielkie wrażenie. Przeszkadzają nam tylko hmary głośno zachowujących turystów, nie pozwalają nam to wejść w klimat tego miejsca. Przez ogrody płynie rzeczka, która ujęta jest w różne formy, w sadzawki, fontanny, płynie nawet w kamiennych poręczach schodów. A w sadzawkach pływają kolorowe rybki. Można znaleźć tu nawet naturalnie klimatyzowane miejsca: są to małe sadzawki obsadzone wysoką zwężającą się ku górze roślinnością. Obok sadzawki – kamienna ławeczka. Rośliny nie dopuszczają słońca, woda w sadzawce oddaje przyjemny chłód a na ławeczce można usiąść i odpocząć... Siadamy tak sobie i zastanawiamy się kto tu siedział kiedyś przed nami, może spotykali się tu pod osłoną roślin jacyś ukrywający się kochankowie....? Jest tu jedno takie drzewo, już całkiem martwe, pod którym jak legenda głosi ukradkiem spotykali się nałożnica sułtana ze swoim ukochanym... jak to się skończyło, nie trudno się domyślić. W tamtych czasach takie historie nie kończyły się happy end'ami..



Jeden dzień to za mało aby wszystko zobaczyć. Skupiamy się głównie na mauretańskich pozostałościach, dobudowane elementy Alhambry po wypędzeniu muzułmanów przez katolików nie są już tak ciekawe, przynajmniej dla nas.



Oszołomieni pięknem roślinności wychodzimy już z ogrodów, nagle zauważam informację, że organizowane jest też nocne zwiedzanie Pałacu. Trzeba przyjść o określonej godzinie aby kupić bilety a póki co jedziemy do miasta coś przekąsić. Wracamy na miejsce godzinę przed otwarciem kasy, jesteśmy pierwsi, chyba Polacy mają stanie w kolejkach w genach.

Wchodzimy po raz drugi na teren czerwonego zamku, jest tu zupełnie inaczej jak za dnia. Dookoła panuje półmrok, słychać cykady świerszczy i szum wody w fontannach... niesamowite wrażenie... Chodzimy w niektóre te same miejsca w których byliśmy za dnia, a wyglądają zupełnie inaczej, trudno nazwać to co w tej chwili czujemy...



W końcu wchodzimy do Pałacu, najpierw na jego dziedziniec i tu doznaje szoku. Patrę jak zaczarowana w fontannę wspartą na 12-stu lwach stojącą na jego środku. Mam

niesamowite deja vu. Ja tą fontannę już kiedyś widziałam, nie tak o zmroku, suchą, ale w świetle słońca, tętniącą życiem, wokół zieleń krzewów i kolory kwitnących kwiatów... Skąd ten obraz w mojej głowie????



Wchodzimy po kolej do pomieszczeń Pałacu. Jedne służyły do celów prywatnych, w innych odbywały się posiedzenia rządu i królewskiego sądu, w jeszcze inne służyło za centrum polityczne i dyplomatyczne Grenady.

Nas oczywiście najbardziej interesują prywatne pomieszczenia. Wśród nich mieści się harem i pokój faworyty. Ile byśmy dali żeby móc przenieść się w czasie i choć z punktu obserwatora zobaczyć jak toczyło się tu życie...

# ŚRODA, 20 WRZESIEŃ

Droga do domu, jeszcze Hiszpania

Dziś już tak na serio zaczynamy wracać do domu. Witek chce jechać bez zbędnych postojów, mi natomiast strasznie zależy żeby choć na chwilkę skoczyć jeszcze nad morze. Chciałabym jeszcze choć raz poczuć promienie słońca na swej skórze, piasek pod stopami i przyjemny chłód morskiej wody.. Witka w końcu przekonuje argument, że w ten sposób podładujemy nasze akumulatory przed długą drogą. Robimy więc dziś około 800km, przejeżdżamy m.in. przez część gór Sierra Nevada i stajemy jeszcze w Hiszpanii blisko morza na nocleg.

# CZWARTEK, 21 WRZESIEŃ

Nadal Hiszpania...

Udaje nam się znaleźć zupełnie pustą plażę, co prawda z tyłu za nami biegną tory kolejowe i od czasu do czasu przejeżdża pociąg, ale nie przeszkadza nam to zupełnie w kąpaniu się na golasa. Sytuacja się komplikuje gdy podczas mojej beztroskiej kąpieli w morzu pojawiają się na torach jacyś robotnicy. Witek nie chce mi podać ręcznika, nabija się ze mnie i patrzy jak wybrnę z tej sytuacji. W końcu „łaskawie” rzuca mi gatki, które niestety porywają fale. Rzucam się za nimi, przeskakuje fale, w końcu udaje mi się je złapać! Mogę wyjść z wody ;-), Śmiać mi się chce bo dociera do mnie, że narobiłam takiego zamieszania goniąc część mojej garderoby między falami, że robotnicy musieli mieć niezły ubaw.

Niestety wszystko co dobre zawsze się kończy, czas więc ruszać w dalszą drogę. Z bólem serca zbieram się z plaży. Zdaję sobie sprawę, że ostatni raz w tym roku jestem nad morzem, że wakacje się kończą i że niedługo będziemy musieli wrócić do rzeczywistości... No cóż...ostatnie spojrzenie na błękitny bezkres wody i rura w stronę domu. Po przejechaniu 500km szukamy jakiejś miejscówki do spania bo jest już całkiem ciemno. Postanawiamy nie tracić czasu na szukanie pola namiotowego przenocujemy przy autostradzie. Udaje nam się znaleźć parking z miejscem dla kamperów. Są tu nawet drzewka i zielona trawka na której rozbijamy namiot. Jakaż miła odmiana po wszechobecnym grysiku w Hiszpanii.

# PIĄTEK, 22 WRZESIEŃ

Już w Niemczech 200km do polskiej granicy...

Dziś dajemy naprawdę czadu, wyjeżdżamy z Hiszpanii, przejeżdżamy całą Francję i prawie całe Niemcy. Na nocleg zatrzymujemy się około 200km od granicy Polski. Jest to możliwe tylko dlatego, że zatrzymujemy się tylko na tankowanie i przy okazji załatwiamy całą resztę, jedzonko, siusiu lub coś cięższego ;-). Dzięki temu postój wypada średnio co 300km czyli co 1.5 – 2 godziny. Tempo naprawdę niezłe, tyłki i nogi bolą nas strasznie ale za to jesteśmy już naprawdę blisko domu.



# SOBOTA, 23 WRZESIEŃ

Dojeżdżamy do domu...

W nocy nieźle zmarzły nam tyłki a chłodny poranek daje nam się we znaki.

Teraz naprawdę czujemy, że skończyły się wakacje... :-)

Na dziś zostało nam do przejechania tylko około 500 km, to pryszcz w porównaniu do tego jaką trasę zrobiliśmy wczoraj. Na luziku przyjeżdżamy więc do domu, niestety nadal mamy wysypkę, którą dostaliśmy w Grenadzie więc na wszelki wypadek gdyby to było przez jakiś nieproszonych „gości” zostawiamy bagaże w garażu aby w razie czego nie zainfekować rzeczy w domu. Wołamy moją mamę, która jest lekarzem na oględziny. Mama stwierdza, że jest to reakcja alergiczna najprawdopodobniej na pogryzienie mrówek. Po nocnym ataku mrówek w Sant Feliu de Guixols , musiało ich trochę zostać w namiocie i śpiworach i tak nas sukcesywnie w nocy podgryzały. Gdy jad osiągnął już dość wysokie stężenie pojawiła się wysypka. Jezu, jaka ulga J Witek dopiero teraz przyznaje się, że z tymi wszami to na początku mnie wkręcał ale później już sam zwątpił. Najważniejsze, że wszystko dobrze się skończyło...

Dzisiejszy wieczór spędzamy na opowiadaniu bliskim naszych przygód, jak dobrze, że jutro jest niedziela i nie musimy jeszcze iść do pracy....

Teraz pozostają nam wspomnienia i marzenia o kolejnej podróży, największej i najbardziej ekstremalnej jak do tej pory w naszym życiu – podróży do Afryki.....